Nr. 6. **11. Marca 1872.** **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

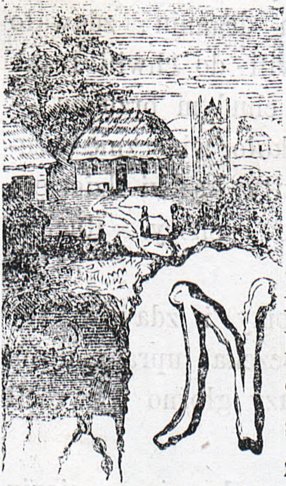


Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.



ZBRODNIA i KARA.

(Zdarzenie prawdziwe).

Niedaleko miasta Rzeszowa jest wieś Woliczka, nie wielka i nie bardzo bogata: chaty wcale ubogo wyglądają, niskie i słomą pokryte, a obok małe stogi na zboże i liche budyneczki gospodarskie. Parafialny kościołek nie wygląda na świątynię Pańską, choć co dzień rano dzwonek wieżowy kilka tysięcy ludzi na modlitwę zwołuje.

Od miasta obwodowego Rzeszowa widać było u wstępu do wsi biały, niewielki domek; choć nie wspaniały, odbijał jednak od pochylonych ku ziemi chatek włościańskich. Już budowa jego odmienną była od sąsiednich chałup: zamiast wązkich i nizkich drzwi posiadał szerokie wrota, a pod niemi wisiało godło wiejskich miejsc do zabawy i rozpusty, to jest, słomiany wiecheć. Była to karczma wiejska. Na pro-

gu zaraz stał gospodarz domu, jak zwykle u nas, wyznawca religii mojżeszowej, pan Izak Orgiel (jak to widać na stronie następnej na obrazku). Wysokiej postawy, w długim hałacie, z ręką za pas włożoną, był on podobny do wszystkich karczmarzy naszych. Na pozór w niczem się nie różnił od wszystkich innych arendarzy. Kto się jednak bliżej przypatrzył twarzy jego i zajrzał pilniej w jego oczy, ten z przerażeniem odwracał głowę, jak gdyby ujrzał jakieś widmo z grobu pobu powstałe, lub w ludzkie ciało przebranego szatana. Twarz jego była wychudła i blada, broda długa i ruda. Głęboko zapadłe oczy, zasłaniały ruchliwe powieki. Jeżeliś jednak przypatrzył się oczom żyda w chwili, gdy spokojnie wzrok wlepił w jaki przedmiot, mogłeś zajrzeć aż w głąb duszy i zdawało ci się, jakbyś ujrzał czarnych węgli kupę, z których wymykały się dwa ogniste, błędne płomyki. Wargi Izaka, wydęte i grube, nie ustawały w ciągłem drganiu, zdawało się jakby coś wiecznie liczyły. Od chwili do chwili Izaak cmokał wargami i ręką się głaskał po chudym brzuchu — oczy szeroko roztwierał i spoglądał w około, widocznie oczekiwał gości. Z brudnej sionki dochodziły krzyki dziecięce i gruby głos Ruchli karcącej niesforne bachory. Ruchla, była to żona Izaka.

Długo stał Izak prawie nieruchomy i zdawało się, jakby już stracił nadzieję, że się doczeka upragnionych gości. Poprawił pasa, mruknął kilka razy głośno i zwrócił się ku sieni.

Wtem z po za rogu karczmy wysunęły się w cieniu dwie postacie i zbliżyły się szybko ku drzwiom wchodowym. Usłyszał kroki Izak, odwrócił niby od niechcenia głowę i przywitał przybyłych wcale nieserdecznie.

Gdy weszli do wnętrza karczmy, gospodarz zamknął drzwi na rygiel i zgasił światło w pierwszej wielkiej izbie. Gości wprowadził Izak do przyległego alkierza, gdzie już Ruchla razem z dziećmi spoczywała na brudnem łóżku.

Goście zasiedli za stołem tak śmiało i swobodnie, jak gdyby w własnym znajdowali się domu.

— No Icku... stawiaj garniec — zawołał Piotr, (tak się nazywał jeden z przybyłych).

Izak niechętnie rzucił okiem na Piotra i nie ruszył się z miejsca.

— A popatrzno Icku — odezwał się Piotr po raz drugi — popatrz, co my tu przynieśli.



Izak Orgiel, karczmarz.

Przy tych słowach wyciągnął z kieszeni dwa piękne pudełka i postawił je przed Izakiem.

*

— Oj, ciężka była robota, a droga daleka — mówił jeszcze Piotr.

Ale Izaka nie było już w alkierzu. Rzucił tylko okiem na to, co goście jego przynieśli, nie mruknął ani słowa i wybiegł szybko.

Za chwilę powrócił w jednej ręce z garncem wódki, a w drugiej trzymał kawał pszennego chleba, kilka kugli roboty jego Ruchli i inne przysmaki na zakąskę.

— No, posilcie się... doleka była droga, a ja się przypatrzę tym zabawkom, coście tu przynieśli.

Przybyli wyrwali z rąk żyda napój, który po zapachu z daleka poznać było można i z namiętnością podając sobie na przemian, zalewali wyschłe gardła prawdziwym spirytusem.

Żyd siadł opodal, wziął do rąk pudełko, szarpnął zawiaski, aby zobaczyć, czy spólnicy dobrze się spisali. Pod silnym naciskiem pękło wieko szkatułki, a białe jak śnieg perły posypały się po podłodze.

Zajęci wódką wieśniacy, ani nie uważali, jak żyd chciwie rzucił się na ziemię i czołgając się po niej, zbierał pojedyncze perełki i chował je szybko do kieszeni kaftana. Zebrał prawie wszystkie, siadł znów przy stole i przypatrywał się chwilę biesiadującym. Pewny, iż nie widzieli niczego, złożył rozerwane pudełko napowrót i wziął drugie do ręki.

Pomiędzy Piotrem i Michałem, (tak się nazywał brat i towarzysz Piotra) cicha toczyła się rozmowa.

Jakkolwiek bracia, zupełnie do siebie byli niepodobni. Piotr starszy wiekiem, postawą niższy od Michała. Na szerokiej, wydętej i opuchłej od opilstwa twarzy, rozsiadł się plaskaty, a wielki nos. Małe oczka głęboko osadzone, nie miały żadnego wyrazu. W całem obliczu nie było śladu myśli, tylko sińce pod oczami i spalone wargi. Rozpusta i opilstwo pozostawiły widoczne ślady na ciele.

Michał przeciwnie, zdawał się być myślącym i trzeźwym człowiekiem. Śmiałe ruchy, jakaś powaga w chodzie, cała w ogóle postać okazywała pewną godność. I nie szko-

dziło temu wcale liche odzienie, wyszarzana świta, popruta, wysoka czapka czerwona, jaką lud w Rzeszowskiem nosi, i buty pełne dziur i łat. A mimo to o wiele był przyjemniejszym jak Piotr, chociaż porządnie odziany i z pełną w kamizelce kaletą. Gdyś na Piotra patrzał, mimowoli czułeś odrazę od tego bogatego pijaka. Michał tylko współczucie budził.

Oczy jego były łzawe, blask ich przyćmiony, ruchy nieśmiałe. Na twarzy wieczny gościł smutek, a częste westchnienia pokazywały, że Michał nie był szczęśliwym. Ciężko musiał walczyć z losem, bo czoło miał poorane zmarszczkami, a usta wykrzywiały mu się do smutnego uśmiechu.

— Cóż ty tam myślisz ciągle jeszcze nad tem głupstwem — zaczął Piotr, podając Michałowi pełny półkwaterek. — Co się stało, już się nie odstanie. Ot! wolałbyś się cieszyć, że masz co dać żonie i dzieciom, a nie myśleć o jakimś tam niby grzechu.

— Oj! nie gadaj tak bracie; grzech ci to jest zawsze cudze dobro naruszać i Pan Bóg ciężko karze złodziejów. A nasza dziedziczka taka dobra, a te dyamenty i złoto, to jej ostatki. Nie będzie miała czem podatku zapłacić, a Izak jej nie pożyczy, bo wie, że nie ma zkąd oddać.

— Bierz Michale, co ci Pan Bóg daje — odpowiedział Piotr i pociągnął spory łyk gorzałki. — Jużci ona biedna — mówił dalej — ale my biedniejsi. A djabli wiedzą, zkąd te pieniądze wzięła, co je gdzieś w obcych krajach zmarnowała... niechże teraz bieduje.

— Bo to widzisz — mówił Michał — ona dobra pani. Albo to raz mnie poratowała, i doktora zapłaciła, jak moja baba chorowała, i dziecko do siebie wzięła... to mi ją żal obierać do ostatka.

— Zrób jak chcesz. Nie chcesz cudzym groszem siebie ratować, to idź skarż mnie do sądu i giń z biedy.

— Ny! idź, idź!.. kiedyś taki głupi — zawołał arendarz Orgiel Izak. — Co ty myślisz, że ja chcę takiego spólnik! Aj waj! ja ziebym ino chciał, to sam wójt poszedłby kraść dla mnie, bo ja dobrze płacę.

Michałowi oczy zabłysły gniewem, chciał chwycić żyda w silne swe dłonie i rzucić o ziemię. Sumienie silnie się w nim odezwało — już był na dobrej drodze...

Ale niestety kusiciele nie spali.

Żyd — widać poznał, jaką walkę toczył ze sobą samym nie zupełnie jeszcze zepsuty Michał, bo niespokojnie ruszył wargami i przysunął nowy kieliszek wódki.

— Nie krzycz — nie hałasuj Michale! Ot lepiej pogadajmy rozsądnie.

— A niech Cię diabli porwą, ty niewierna duszo! zawołał Michał i ruszył ku drzwiom.

Dwaj spólnicy, co niespokojnie patrzali na Michała, równocześnie prawie zawołali:

— A co twoja żona powie? Michale!

Na te słowa Michał zbladł jak chusta i jęknął: Żona.... żona..... dzieci..... chleba..... odzienia..... i usiadł znowu na ławce.

Piotr i Michał Worosze, byli wspólnikami Izaka: Piotr złodziej z nałogu, Michał z nędzy.

Klejnoty i złoto, które Worosze przynieśli, były własnością dziedziczki wsi Świlczy, gdzie oba bracia mieszkali; kradzież popełnili za namową Izaka. Ten miał odkupić zdobycz.

Gdy przyszło do oglądania zdobyczy i do obrachunku wspólnego — pokazało się, że jedno pudełko było próżne.

Wiemy już dlaczego Izak przysięgał się i zaklinał, że Worosze takie przynieśli. Oni się sprzeciwiali. Byłoby może przyszło do kłótni i bitki, ale złodzieje wiedzieli dobrze, coby z nimi było, gdyby sprawa wyszła na świat. Ugodzili się więc między sobą. Izak zapłacił Woroszom 40 papierków i pożegnał się z nimi serdecznie. (C. d. n.)

Mądry sędzia

Kupiec odjeżdżał w dalekie kraje dla zakupna towarów i dla innych sprawunków. Miał on dużo pieniędzy uzbieranych,

a że nie był żonaty i nie miał ojca ni matki, więc zebrał złoto w spory woreczek i oddał go swemu przyjacielowi do przechowania. Po roku powrócił i idzie do owego przyjaciela po złoto. Ten klnie się na Boga i duszę i na zbawienie swoje, że pieniędzy ani woreczka nie brał. Bezczelność taka rozgniewała niezmiernie kupca — przyszło do wyrzutów i kłótni i w końcu postanowił udać się do sędziego.

„Byłeś więcej rzetelnym, aniżeli roztropnym“ powiedział sędzia kupcowi. „Nie powinieneś był powierzać twojego majątku człowiekowi, któregoś nie doświadczył. Trudno teraz będzie wydobyć od oszusta twoje złoto, dałeś mu je bowiem bez świadków. Uczynię jednak wszystko, co tylko w mojej mocy. Idź jeszcze raz do niego, proś go, aby ci dobrowolnie oddał pieniądze, mów jednak tak, aby nie poznał, że byłeś u mnie; jutro o tej samej porze przybądź do mnie.“

Stało się według rozkazu sędziego. Zamiast pieniędzy usłyszał wszakże kupiec tylko obelżywe słowa. Kiedy się jeszcze sprzeczali i kłócili, nadszedł służący i zaprosił oszusta do domu sędziego. Natychmiast przebrał się oszust świątecznie i poszedł. Sędzia przyjął go nader uprzejmie, jakby najznakomitszego gościa, zaprowadził go do najpiękniejszego swego pokoju, rozmawiał z nim o sprawach miastowych, schlebiał jego zacności, mądrości i szlachetności, tak że pozyskał zupełne zaufanie przeniewiercy. „Zaprosiłem cię — mówił sędzia, — kochany mój przyjacielu, aby ci powierzyć ważną bardzo tajemnicę i okazać ci zarazem moją przyjaźń, szacunek i zaufanie. Ważne bardzo sprawy zniewalają mnie do kilkumiesięcznej podróży do stolicy. Wiesz, że nie mam żony, ani wiernych przyjaciół w tem mieście; sługom moim nie ufam zupełnie, boję się, aby mnie nie skrzywdzili. Zebrałem sobie znaczny majątek w złocie, kosztownościach i pieniądzach, a teraz nie mam go komu powierzyć. Całe miasto mówi o twojej uczciwości i zacności — i ja więc proszę cię jak najusilniej, abyś mi nie odmówił małej przysługi i przechował skarby moje u siebie aż do mego powrotu. Wdzięczność i przyjaźń moja będą wiecznemi dla ciebie. Jutro w nocy przyszlę do ciebie niepozorną skrzyneczkę

z złotem i kosztownościami przez służącego i powiem mu, że to jakiś drobny podarunek dla ciebie. Upraszam cię również o najgłębszą tajemnicę.“

Zabłysnęły oczy u przeniewiercy jakby u kota, uśmiechał się serdecznie i już w duszy liczył ogromne zyski. Ukłonił się kilkakrotnie, podziękował za tak wielkie zaufanie, jak mógł najładniej, przyrzekł, że będzie skarbów pilnował jak oka w głowie, pożegnał sędziego i wyszedł.

Rankiem na drugi dzień przyszedł kupiec do sędziego i opowiedział, że ów dawny przyjaciel żadną miarą skarbu powierzonego wydać nie chce. „Idź jeszcze raz do niego — rzekł sędzia — proś go o oddanie, a gdy się będzie upierał, powiedz mu, że go przedemną oskarżysz o sprzeniewierzenie i kradzież; sądzę, że skarb odzyskasz.“

Kupiec przyszedł po raz trzeci, prosił, zaklinał, błagał swego dawnego przyjaciela o oddanie woreczka — nic nie pomogło. Wreszcie oświadczył, że go przed sędzią oskarży. Mrowie przeszło przeniewiercę, zląkł się, jak złodziej złapany na uczynku — ale w tej chwili oprzytomniał i powiedział sobie w duchu: przecież skarby sędziego będą więcej warte jak woreczek kupca — gotów jeszcze sędzia uwierzyć mu i nie przysłać swojej skrzyni. „Kochany przyjacielu — powiedział po chwili — jakżeś mię mógł posądzić, ażebym był tak nieuczciwym, i nierzetelnym, abym ci cały twój majątek wydarł. Żartowałem tylko, chciałem cię doświadczyć i przekonać się, jak wielka nasza przyjaźń. Cały skarb twój zajduje się u mnie — nie pozwoliłem, aby ci grosz miał zginąć“. Kupiec śmiał się w duchu, udawał jednak, ze wierzy wszystkiemu. Przeniewierca wyszedł i za chwilę przyniósł ów woreczek zupełnie nienaruszony i oddał go przyjacielowi. Dziękował mu nibyto serdecznie kupiec, ale serdeczniej dziękował sędziemu, za tak mądrą i wspaniałomyślną radę.

Nadeszła noc. Przeniewierca z iskrzącemi chciwością oczyma siedział przy stoliku, co chwila patrzył na zegarek i oczekiwał niecierpliwie, rychło nadejdzie służący z skrzynką od sędziego. „Zapewne jeszcze się nie wybrał sędzia — my-

ślał sobie, kiedy północ minęła — albo może chce się pierwej przespać i rankiem odjechać, może pakuje rzeczy i potrzebuje służących. Tymczasem mijała godzina za godziną — a tu nikogo nie widać. Czekał jak na mękach, to obliczał zyski przy stoliku, to znów za najmniejszym szelestem wybiegał na podwórze i natężonym okiem spoglądał ku domowi sędziego. Całą noc spędził bezsennie, trawiony piekielną chciwością zyskania skarbu.

Zmęczony takiem czuwaniem, skoro tylko dnieć poczęło, poszedł do mieszkania sędziego. Pewny był, że go już nie zastał i zdawało mu się, że to zapewne służący nie chciał nocą odnosić owego podarunku, i że odłożył to aż do rana. Odchylił drzwi i powiedział do służącego: „Czy nie możesz mi powiedzieć, dlaczego cię sędzia wczoraj do mnie nie przysłał“? Tymczasem sędzia, który był w drugim pokoju i słyszał jego zapytanie, otworzył drzwi i powiedział: „Dlatego nie przysłałem skrzynki, gdyż dowiedziałem się od znajomego kupca, że jesteś przeniewiercą i złodziejem bezczelnym; nie ominie cię należyta kara, skoro tylko jeszcze jakakolwiek skarga podobna na ciebie powstanie“. Skłonił się oszust i uciekł jak zmyty. Tymczasem rozeszła się wieść o całem zdarzeniu, a że to był człowiek zamożny — więc całe miasto palcami go wytykało, wszyscy zwali go oszustem, tak że prawie nigdzie z domu wyjść nie mógł. Dręczyło go niezmiernie nie tyle własne sumienie, ile raczej pośmiewisko ludzi, tak, że go wkrótce w ciężką popadł chorobę i umarł.

Jadwiga, królowa Polska.

Wielką nam biedę Litwiny niosły,
Codzień po Bugu*) pluskały wiosły,
Wiosły pluskały, łodzie szumiały,
Cierpieli wielcy, biadał lud mały.

*) Bug, rzeka wpływająca do Wisły, był w owym czasie granicą między Polską a Litwą.

Co ona Litwa nabrała branek,
Co nadwiślanek, co nadbużanek.
Stałoć i Polsce na dość rycerzy,
Lecz naszych Litwa zawsze ubieży,
Nie tyle wilcy czynią nam szkody,
Co ona Litwa z za Bugu wody.



Hej! hej! Polacy otrzejcież lica,
Jadwiga wasza cudna dziewica,
Takiej urody Litwa nie znała,
Jak zorza cicha, jako mgła biała.
Co jeno Polska ma w sobie krasy,
Co blasku wody, co cieniów lasy,
To się na licu odbiło onej:
I blask wiślany i gaj cieniony.
Taką to sobie księżniczkę młodą
Starzy Polacy na Panią wiodą.

Jednego razu w pośród weseli
Smutkiem się lice dziewy zabieli,
Z lesistej strony od lasów Buga,
Po niebie łuna ciągnie się długa.
Na łunę krwawą, co w nocnej porze
Jak pożar lasu stoi na borze
Księżna Jadwiga rzuci oczyma,
A w białej piersi płaczu nie wstrzyma.
I ubogiemu ludowi rzeka:
Co księżny złotej pod wroty czeka:
I cóż ja mogę?... Weźcie me szaty
Niech przyodzieją spalone chaty.
Niech się w nie nędza ludzka otuli
A mnie zostawcie w jednej koszuli.
Ażci rycerze i lud ze sioła
Zgodnemi głosy ku niej zawoła,
Jak sznur żurawi na wiosnę loty:
Książęciu Litwy daj pierścień złoty;
Niech nam ta Litwa krzywdy nie czyni,
Pod ciebie wszyscy pójdą Litwini.

Ciężko jej było z onej przygody,
Bo serce w piersi skakało młodej,
I że już jeden książę potężny
Pozyskał miłość i serce księżny.
Ciężko jej było... przeci się skłonić
I łzę zostawia na białej dłoni.
Z paluszka ściągnie pierścionek blada,
Oczy ociera, sobą nie włada;
Lecz gdy rzuciła okiem raz wtóry,
Na oną łunę, na one bory,
W sercu wytrysły litości źródła,
I pierwsza miłość już się rozwiodła.
Z serca ofiarę Jagielle czyni,
Odtąd nam braćmi, bracia Litwini.

Teofil Lenartowicz.

Zawiślak.

Powiastka z czasów stanu oblężenia w roku 1864.

— Toć ja nie winien panie naczelniku, powiada Podrywka — ja nic nie winien, to tak przypadkiem się stało;

nie znają Jaśnie Wielmożnego pana Naczelnika, uniewinniał się, i zrobili z przeproszeniem despekt.

— Jusz dobre, dobre — tu nie ma buntowniki w tej wioska.

— Niema, proszę Jaśnie Wielmożnego pana Naczelnika, uniewinniał się podwójci, tylkośmy schwycili tej nocy Polaka, co się prebrał za żyda i siedzi w śpichlerzu.

— Ja gut! dobre, dobre! mówił ów naczelnik, dostaniesz Belobung i geld, weź klucze i marsz ze mną.

Natychmiast usłuchał Podrywka, wbiegł do chaty i ubrał się czemprędzej, i wziął klucz i z wielką radością biegł z naczelnikiem do śpichlerza.

— Jakże się zdziwił pan naczelnik, kiedy po otwarciu drzwi zobaczył znanego sobie żydka Mośka, handlarza zbożem.

— Aj wąj! gewałt! krzyczał Mojsiek — oni mię chcą zabić, woni mnie już dawno zamordowali.

— Ratunku! ratunku, gewałt!

Naczelnik coś po niemiecku mruknął do żyda. Ten oprzytomniał, przetarł oczy, uspokoił się widocznie i nuż opowiadać po niemiecku, co go spotkało za nieszczęście. Gadał tak szybko i tak zaciekle, jak gdyby kto zboże pytlował. Przytem macał się co chwila po głowie, rozkładał ręce, płakał i lamentował. Wyjął nareszcie paszport z kieszeni i oddał naczelnikowi i powiada już po polsku, aby i chłopi słyszeli:

— Woni nie słuchają pana naczelnika, woni się sami buntują, woni nie szanują podpis pana naczelnik — ja im pokazywał, a woni udawali, że czytać umieją i powiedzieli, że to podpis fałszywy. Ja stracił majątków, ja będę skarżyć — aj! waj! gewałt, a gdzie moje zboże, a gdzie pieniądzów!... ja będę umierać.

Znów mruknął coś naczelnik po niemiecku, żyd się uspokoił i stanął z prokorną miną: Naczelnik wyciągnął z kieszeni książeczkę, wyjął ołówek, zapisał nazwisko obu wartowników, Macieja i Szymka, Wojtka Hebdę i Jana Gubrysia. Rozkazał dać żydowi furmankę do miasta i więcej go w drodze nie napastować. Następnie z Podrywką po-

szedł do chaty i długo coś rozmawiał. Podwojciemu oczy się świeciły z radości, skrobał się co chwila po głowie i kiwał rękami. Wreszcie wybiegł z chaty, i jak to już opowiedzieliśmy, obchodził sąsiadów i przyjaciół swoich i opowiadał im jakąś tajemnicę do ucha. Tajemnicą tą była walna wyprawa na Polaków. W nocy bowiem dostał naczelnik wiadomość, że nad Wisłą stoczyli powstańcy bitwę z Moskalami i rozbici schronili się do Galicji. Naczelnik postanowił schwytać ich co do jednego i w tym to celu zawezwał pomocy podwójciego i jego przyjaciół. Uzbroili się więc wszyscy w drągi, kije, cepy, siekiery i inne narzędzia zabójcze i wyruszyli pod przewództwem Podrywki ku Wiśle. Za nimi o kilka tysięcy kroków w tyle jechał odważny naczelnik. Dlatego to większa część kobiet i gospodarzy z Podwala wyszła za wioskę, aby się przypatrywać, co to będzie za nowina.

Zawiślak tymczasem szczęśliwie bardzo uciekł z rannym przed obławą. Umieścił go w małej izbie, i nie pozwalał do niej nikomu wchodzić, oprócz Marysi i żony. Szczęście zdarzyło, że w czasie przyjazdu Marcina nikogo nie było, ani w domu, ani w pobliskich chatach. Szymek nawet wyszedł za Podrywką.

Po obiedzie zaprzągł Marcin konia i siadł na wóz i pojechał ku miastu, a nikomu nie powiedział po co.

Właśnie w tejże samej chwili powracali z smutną miną, zafrasowani i zmęczeni przyjaciele podwójciego do domu. Widać obława źle się powiodła, bo nikogo z sobą nie prowadzili. Toć i gospodarze uczciwi, którym się serce krajało, gdy widzieli takie zaślepienie u swoich współbraci, oburzeni i zagniewani, nie żałowali żartów i przycinków, i pełno było śmiechu wśród gromady za wioską, gdy rycerze owi tak niepocieszniе wracali.

Panie Podwójci — mówił Michał Gawełek, gospodarz znany z prawości i rzetelności — cóż wam powiedziały zające na kępie? Nie mówiłem wam, że trzeba było wziąć z domu dwa funty soli, bo to na polowaniu nie żarty, jak nie posypiesz solą, to zając nie poczeka.

Któż widział — żartował znów Jan Kamizela, wybierać się z cepami na kuropatwy. Toć przecie nie strzelba, chyba skrzydła sobie trzeba było przyprawić.

— Ej, bo widzicie kumie — powiada znów inny — nasz Podrywka tak myśli jak ów żyd, co z łokcia chciał wilka zastrzelić: jak pan Bóg dopuści, to i z kija wypuści.

— To prawda — odezwał się znów Michał Gawełek — najsprawiedliwiejby było, gdyby się kij sam obrócił na owych napastników i wygarbował im plecy.

Po każdej takiej przemowie śmiała się głośno gromada gospodarzy i kobiet, a obławnicy nic nie odpowiadając, jak zmyci uciekali do domów. I odważny Niemiec, naczelnik powiatowy, wracał także do miasta, ale już nie przez wioskę, bo go wstyd było, tylko przez pola, krótszą drogą. A furmanowi nakazywał, aby mocno koniki zacinał, bo się nie chciał z nikim spotkać i wystawić na pośmiewisko.

Przez drogę rozważał, jakby tu zachować powagę swego urzędu i wytłumaczyć chłopom, że to nie z jego winy wyprawa tak śmiesznie wypadła.

— Podrywka winien — pomyślał sobie wreszcie w duchu i uderzył się ręką po czole, aż czapeczka z złotym sznurkiem w tył się pochyliła — niechże tedy Podrywka pokutuje. Ale szkoda!... on jeszcze coś gotów wyszukać... może jeszcze uda się zarobić na order.

A po chwili znów tak sobie powiada: Trudno! nie ma co mówić, trzeba powagę zachować, niech podwójci odpowiada... co tam! nie będzie jego, będą inni.

Tak sobie mruczał pod nosem po niemiecku, a furman zacinał koniki i pędził co sił stało, żegnając się co chwila. Zdawało mu się bowiem, że Niemca musiał zły duch opanować, kiedy tak zajadle szwargcze, więc chciał co prędzej pozbyć się kłopotu. Stanęli wreszcie przed powiatem; naczelnik wysiadł, a parobczak aż ręce zatarł z radości, że już raz pozbył się towarzystwa złego ducha.

Nad wieczorem powrócił Zawiślak z miasta i przywiózł lekarza. Pokazało się, że rana nie była niebezpieczna, tylko

że z powodu znacznego upływu krwi ranny troskliwej potrzebuje pomocy.

Po wieczerzy zamknął się wójt z lekarzem i obaj długo coś i żywo rozprawiali. Doktor powiadał, że rannego trzeba będzie odwieźć gdzieś do dworu albo do miasta — wójt zaś upierał się przy swojem, aby go w jego zostawić chacie.

— Dzięki Bogu stać mnie na tyle, iż mogę, nieszczęśliwemu dopomódz. Toć to nasza wiara i nasza sprawa, więc wszyscy na nią składać się powinni.

— Ale jakże go tu u was przechować, co chwila może nadejść niedobry człowiek, doniesie do powiatu, zrewidują chatę i wy, i on będziecie mieć kłopot.

— Otóż w tem sęk i nad tem trzebaby się namyślec i dobrze uradzić.

Dobrym zamiarom Bóg zawsze pomaga. To też wpadli niedługo na szczęśliwy pomysł. Chory miał pozostać w domu Marcina, bo ten na przenoszenie w żaden nie chciał przystać sposób. Ojciec żony, Zawiślak, mieszkał w wiosce oddalonej od Podwala blisko dwie mile, a miał kilku synów młodych jeszcze i nie ożenionych, których na Podwalu prawie nikt nie znał. Otóż Marcin miał wyjechać nazajutrz do krewnych i tam wziąć ze sobą jednego z tych synów.

Ten kiedy wjadą do Podwala miał udawać, że się w drodze potłukł mocno, że choruje i stęka. Rozumie się, że w takim razie Marcin musi go wziąść do swojej chaty i tak długo utrzymywać, dokąd nie wyzdrowieje. Reszty łatwo się domyślić.

Pożegnali się serdecznie z lekarzem po tej naradzie, a nazajurz rano wójta nie było już w domu. Opowiadali sobie sąsiedzi, że Zawiślak wyjechał do swych krewnych.

(C. d. n.)

Rozmaitości.

Gdy Piotr Wielki obsypywał dobrodziejstwy założoną przez się stolicę Petersburg, kosztem starego „świętego grodu“ Moskwy, obraz

Matki Boskiej przeniesiony do nowej cerkwi w Petersburgu zaczął płakać z żalu.

Cud się zjawił.

Tłumy pobożnych zbiegały się ze wszech stron w świętej gorliwości, wołając, że N. Panna nudźi się straszliwie bez Moskwy. Car znajdował się pod tę porę na Łododze. Ale zawiadomiony o tem co się stało, pędził przez całą noc, dopóki nie stanął na miejscu cudownem. Obejrzawszy okazany mu przez popów obraz, rozkazał zanieść go do monarszego pałacu.

Znalazł najprzód maleńkie, zaledwie dostrzedz się dające dziurki w oczach obrazu Matki Boskiej. Car obrócił go, wyjął z ramy, odjął własną ręką płótno, którem był z tyłu nakryty, i ucieszył się, kiedy spostrzegł, że nie zawiódł się w domysłach; odkrył bowiem źródło łez biednego obrazu. Było to drobne wydrążenie zrobione w desce blisko oczu, i znajdowało się w niem jeszcze kilkanaście kropel przygotowanej poprzednio oliwy.

— To mi skarb! — zawołał Piotr Wielki — oto źródło cudownego płaczu!

Po tym wykrzykniku rozkazał zbliżyć się znacznej liczbie przytomnych, ażeby ich przekonać o popełnionem oszustwie.

Następnie tłumaczył wszystkim sztuczny przyrząd, który ich w błąd wprowadził, uważając za rzecz naturalną, że skrzepła oliwa utrzymywała się w miejscu chłodnem, i że dopiero przeciskać do oczu zaczynała, gdy się rozgrzała za pomocą zapalonych świec, stojących na ołtarzu.

— Wszyscyście widzieli na własne oczy — dodał — źródło jakoby łez Boga Rodzicy. Rozgłoścież o tem wszędzie! Niechaj ono będzie wystawione na pośmiewisko!

— Piotr użył wszelkich tajemnych środków dla odkrycia sztukmistrza, którego dzieło tyle mu sprawiło niepokoju, a złowiwszy go na koniec, ukarał po moskiewsku.

— Od tej pory, za jego panowania cuda się nie zjawiały.

J. Gordon.

Od redakcyi.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem i w Prusiech przyjmuje przedpłatę na „Dzwonek" Księgarnia Franciszka Richtera w Poznaniu.

Przedpłata dla W. Księstwa Poznańskiego i Prus wynosi: rocznie 1 talar 15 sr. gr., półrocznie 23 srgr., kwartalnie 12 srgr.

Redaktor i wydaw. odpowiedz. Kazimierz Okaz. — Z drukarni „Gazety Narodowej.